Peter SWANSON

DZIEWCZYNA Z ZEGAREM ZAMIAST SERCA

JESTEŚ TYLKO CZĘŚCIĄ JEJ PLANU

PROLOG

Zmierzchało, ale gdy George skręcił na wyboisty podjazd, zobaczył żółtą policyjną taśmę, która nadal okalała posiadłość.

Zaparkował saaba, lecz zostawił włączony silnik. Próbował nie myśleć o dniu, gdy po raz ostatni był w tym domu ukrytym niemal na pustkowiu w New Essex.

Żółtą taśmę rozciągnięto szerokim łukiem między sosnami, a czerwono-białą zaklejono na krzyż frontowe drzwi. Wyłączył silnik. Przestała działać klimatyzacja i George prawie natychmiast poczuł duszący upał. Słońce stało nisko na niebie, a ciężkie korony sosen potęgowały wrażenie mroku.

Wysiadł z samochodu. Wilgotne powietrze pachniało morzem, a w oddali rozlegał się krzyk mew. Ciemnobrązowy budynek stapiał się z otaczającym go lasem. Jego wysokie okna były równie mroczne jak brudny siding.

Prześlizgnął się pod żółtą taśmą z napisem: POLICJA – WSTĘP WZBRONIONY i poszedł na tyły domu. Miał

nadzieję dostać się do środka przez przesuwane szklane drzwi na zbutwiałym tarasie. Gdyby były zamknięte, rozbiłby szybę kamieniem. Zamierzał przeszukać szybko dom, by znaleźć dowody, które policja mogła przeoczyć.

Przesuwane drzwi zaklejono policyjnymi nalepkami, ale nie zostały zamknięte na klucz. Wszedł do zimnego domu, spodziewając się, że sparaliżuje go strach, a tymczasem poczuł surrealistyczny spokój jak we śnie.

Będę wiedział, czego szukam, kiedy to znajdę.

Było jasne, że policja przetrząsnęła dokładnie całą posiadłość. W kilku miejscach pozostały ślady proszku do zdejmowania odcisków palców. Ze stolika do kawy zniknęły akcesoria narkomana. Skierował się do głównej sypialni we wschodnim skrzydle domu. Nie był w tym pokoju nigdy przedtem i otwierając drzwi, spodziewał się bałaganu. Tymczasem zastał tam względny porządek. W dużym pomieszczeniu z niskim sufitem stało wielkie łoże zasłane kwiecistą pościelą. Naprzeciwko łóżka znajdowały się dwie niskie komody przykryte szklanymi płytami. Pod brudnymi taflami leżały wyblakłe zdjęcia z polaroidu. Z przyjęć urodzinowych, uroczystości wręczania dyplomów.

Otworzył szuflady, ale niczego w nich nie znalazł. Tylko stare ubrania, szczotki do włosów, zapakowane nadal w pudełka buteleczki perfum. Wszystko pachniało kurzem i naftaliną.

Wyłożone dywanem schody prowadziły na dół. Gdy mijał podest przy frontowych drzwiach, starał się usilnie nie przywoływać obrazu, który utkwił mu w pamięci. Ale wpatrywał się dłuższą chwilę w miejsce, gdzie upadło ciało,

gdzie skóra ofiary straciła swoją naturalną barwę.

U podnóża schodów skręcił w lewo do dużej zagospodarowanej piwnicy pachnącej stęchlizną i pozbawionej okien. Próbował zapalić światło, ale elektryczność była wyłączona. Wyjął z tylnej kieszeni niewielką latarkę i oświetlił nią piwnicę. W centrum pomieszczenia stał piękny, stary stół bilardowy wyłożony czerwoną tkaniną zamiast zielonej, z rozrzuconymi przypadkowo kulami. W narożniku w głębi znajdował się wysoki bar z kilkoma taboretami i dużym lustrem z wygrawerowanym logo GEORGE DICKEL TENNESSEE WHISKEY. Przed lustrem wisiała długa pusta półka, na której, jak sądził, musiały kiedyś stać szeregiem butelki alkoholu, dawno już opróżnione i wyrzucone.

Będę wiedział, czego szukam, kiedy to znajdę.

Wrócił na górę i rozejrzał się po dwóch mniejszych sypialniach, szukając jakiegokolwiek dowodu, że ostatnio z nich korzystano, ale na próżno. Policjanci robili z pewnością to samo, zabrali wszystko, co mogło mieć znaczenie, ale musiał zjawić się tu osobiście. Wiedział, że trafi na ślad. Wiedział, że ona na pewno coś zostawiła.

Dostrzegł to w salonie, wśród książek, na półce na wysokości oczu. Tom w twardej białej oprawie obłożony w plastik, jakby należał kiedyś do biblioteki. Stał pośród innych książek, w większości technicznych. Były tam poradniki żeglarskie. Przewodniki turystyczne. Stare wydanie dziecięcej encyklopedii. Znalazły się i powieści – w miękkich okładkach. I klasyka sensacji. Michael Crichton. Tom Clancy.

Dotknął grzbietu książki. Tytuł i nazwisko autorki zostały wypisane cienką i elegancką czerwoną czcionką: *Rebeka* Daphne du Maurier.

Była to jej ulubiona książka. Jedyna, którą lubiła. Dała mu egzemplarz, kiedy się poznali. Na pierwszym roku studiów. Czytała mu jej fragmenty na głos w akademiku w mroźne zimowe noce. Znał je na pamięć.

Wziął książkę z półki i przesunął palcem po krawędziach kartek. Otworzyła się na stronie szóstej. Dwa zdania były otoczone starannie wykreślonymi liniami. Pamiętał, że tak to robiła. Nie używała kolorowych markerów. Nie podkreślała tekstu. Zakreślała liniami słowa, zdania i akapity.

George nie od razu przeczytał zaznaczony fragment. Książka nie otworzyła się przypadkiem, lecz dlatego, że między kartki została włożona pocztówka, nieco już pożółkła ze starości. Nikt na niej niczego nie napisał. Odwrócił ją i zobaczył kolorowe zdjęcie ruin Majów, które stały na porośniętym krzakami zboczu, na tle oceanu. Była to stara pocztówka, ze zbyt błękitnym oceanem i zbyt zieloną trawą. Odwrócił ją ponownie i przeczytał napis: Ruiny Majów w Tulum. Quintana Roo. Meksyk.

ROZDZIAŁ 1

W piątek, pięć po piątej po południu, George Foss poszedł prosto ze swego biura do tawerny Jack Crow's. Bostońskie powietrze było lepkie od fali upałów. Spędził ostatnie trzy godziny pracy nad skrupulatną korektą kontraktu ilustratora, a potem wpatrywał się tępo przez okno w błękitną mgiełkę na niebie nad miastem. Nie znosił późnego lata tak samo, jak inni bostończycy nie lubili długich zim w Nowej Anglii. Osowiałe drzewa, żółkniejące parki i długie wilgotne noce sprawiały, że tęsknił za rześką jesienną pogodą i zdatnym do oddychania powietrzem, dzięki któremu odzież nie przyklejała mu się do skóry i nie bolały go kości.

Przeszedł kilka przecznic do Jack Crow's najwolniej jak mógł, mając nadzieję, że nie przepoci sobie koszuli. Samochody przeciskały się przez wąskie uliczki Back Bay, bostończycy próbowali uciec od zaduchu miasta. Większość mieszkańców dzielnicy zamierzała napić się pierwszego wieczornego drinka w barach w Wellfleet, Edgartown lub

Kennebunkport albo w innym położonym niezbyt daleko nadmorskim miasteczku. George'a zadowalała tawerna Jack Crow's, gdzie drinki serwowano przeciętne, ale klimatyzacja, którą obsługiwał żyjący w Stanach Franko-Kanadyjczyk, nastawiona była zawsze na temperaturę zamrażarki.

Cieszył się też, że zobaczy Irene. Widział ją ostatnio ponad dwa tygodnie temu, na przyjęciu u ich wspólnego znajomego. Prawie ze sobą nie rozmawiali, a gdy George wyszedł pierwszy, spojrzała na niego z udawanym gniewem. Zaczął się wtedy zastanawiać, czy ich przerywany związek przeżywa znów jeden z okresowych kryzysów. Znał Irene od piętnastu lat. Poznali się w redakcji czasopisma, gdzie nadal pracował. Była zastępcą redaktora, a on zajmował się rachunkowością. Praca księgowego w znanym literackim czasopiśmie wydawała się idealna dla kogoś z pisarskim zacięciem, ale bez talentu. Teraz George był dyrektorem tego tonącego okrętu, podczas gdy Irene robiła karierę w rozwijającym się coraz prężniej dziale internetowym „The Boston Globe".

Przez dwa lata byli idealną parą. Ale potem nastąpiło trzynaście lat coraz rzadszych powrotów, wzajemnych pretensji, sporadycznych zdrad i stale malejących oczekiwań. I choć dawno przestali uważać, że są zwyczajną parą, którą czeka zwyczajny los, przychodzili nadal do swego ulubionego baru, mówili sobie wszystko, od czasu do czasu sypiali ze sobą i wbrew wszelkim przeciwnościom stali się najlepszymi przyjaciółmi. Mimo to musieli co jakiś czas porozmawiać na temat statusu swego związku. Tego

wieczoru George nie odczuwał takiej potrzeby. Nie miało to nic wspólnego z Irene. Pod wieloma względami jego stosunek do niej nie zmienił się od dziesięciu lat. Chodziło raczej o podejście do życia. Zbliżał się do czterdziestki i czuł, że jego świat traci powoli wszelkie barwy. Przekroczył już wiek, gdy mógł oczekiwać, że do szaleństwa się w kimś zakocha i założy rodzinę albo podbije świat, albo zdarzy się coś nieoczekiwanego, co wyrwie go z szarej egzystencji. Nigdy głośno o tym nie mówił – w końcu miał dobrą pracę, mieszkał w Bostonie, nie wypadały mu włosy – lecz ogarniał go marazm. Nie przystawał jeszcze przez zakładami pogrzebowymi, ale czuł, że od lat nie otworzyły się przed nim żadne perspektywy. Nie interesowały go nowe przyjaźnie ani związki. Zarabiał coraz więcej, ale jego entuzjazm do pracy osłabł. W przeszłości wydanie każdego numeru miesięcznika dawało mu poczucie dumy i sukcesu. Teraz rzadko czytywał publikowane w nim artykuły.

Zbliżając się do tawerny, George zastanawiał się, w jakim nastroju będzie dziś Irene. Był pewien, że usłyszy o rozwiedzionym redaktorze z jej biura, który tego lata kilka razy próbował się z nią umówić. Może się zgodziła i są teraz ze sobą, a George został w końcu odstawiony na boczny tor? Zamiast się tym przejąć, zaczął rozmyślać, co zrobi z całym wolnym czasem. Czym go wypełni? I z kim?

Przecisnął się przez drzwi z oszronionego szkła do tawerny i podążył wprost do ulubionego boksu. Potem zdał sobie sprawę, że musiał przejść tuż obok Liany Decter siedzącej w narożniku baru. W chłodniejszy wieczór, albo gdyby był w lepszym nastroju, rozejrzałby się zapewne po

twarzach kilku stałych bywalców tawerny. Kiedyś, zauważywszy zgrabną samotną kobietę o jasnej cerze, pomyślałby może podekscytowany, że to Liana. Od dwudziestu lat marzył i zarazem lękał się, że znów ją zobaczy. Wypatrywał jej na całym świecie. Przypominało mu ją wszystko: włosy stewardesy, bujne ciało kobiety na plaży, głos w nocnym programie jazzowym. Przez sześć miesięcy był nawet przekonany, że Liana została gwiazdą porno o pseudonimie Jean Harlot. Zadał sobie trud, by ustalić jej prawdziwą tożsamość. Okazała się córką pastora z Dakoty Północnej i nazywała się Carli Swenson.

George usadowił się w swoim boksie, zamówił u kelnerki Trudy koktajl z whisky i wyjął ze sfatygowanej torby egzemplarz „The Boston Globe". Specjalnie na tę okazję zostawił sobie krzyżówkę. Umówił się z Irene dopiero na szóstą. Rozwiązał krzyżówkę, sącząc drinka, potem niechętnie zajął się sudoku, a nawet układanką, zanim usłyszał za sobą znajome kroki Irene.

– Proszę, zamieńmy się – powiedziała na powitanie, mając na myśli miejsca w boksie. W lokalu był tylko jeden telewizor, co zdarzało się rzadko w bostońskim barze, i Irene, ponieważ kibicowała drużynie Red Sox z większą lojalnością i zapałem niż George, chciała mieć lepszy widok.

George wysunął się z boksu, pocałował Irene w kącik ust (pachniała kosmetykami Clinique i miętówkami) i usadowił się na ławce po drugiej stronie, z widokiem na dębowy bar i okna sięgające od podłogi do sufitu. Na zewnątrz było jeszcze jasno, różowy krąg słońca barwił na ulicy mury z piaskowca. Wpadające przez szyby światło

sprawiło, że George zauważył nagle samotną kobietę w narożniku baru. Piła z kieliszka czerwone wino i czytała książkę. George poczuł skurcz w żołądku, bo wyglądała jak Liana. Dokładnie jak ona. Ale już wiele razy zdarzało mu się coś takiego.

Spojrzał na Irene, która odwróciła się w stronę tablicy za barem, z wypisanymi daniami dnia i gatunkami piwa. Jak zwykle zaczesała krótkie blond włosy za uszy, zupełnie nie przejmując się upałem. Jej okulary, w kształcie kocich oczu, miały różowe oprawki. Czy zawsze takie nosiła?

Zamówiwszy piwo Allagash White, Irene zapoznała George'a z dalszym ciągiem sagi rozwiedzionego redaktora. Poczuł ulgę, że ton jej głosu był swobodny i pojednawczy. Opowieści o redaktorze brzmiały anegdotycznie, lecz wyczuwał w nich niepokojącą nutę. Ten facet mógł być pulchnym piwoszem z końskim ogonem, ale oferował jej przynajmniej na przyszłość coś więcej niż drinki, śmiechy i bardzo sporadyczny seks, na które mogła liczyć z George'em.

Słuchał jej, sącząc drinka, ale nie spuszczał wzroku z kobiety przy barze. Czekał na gest albo szczegół, który pozbawiłby go złudzenia, że patrzy w istocie na Lianę Decter, a nie jej ducha albo sobowtóra. Jeśli to była ona, zmieniła się. Nie jakoś wyraźnie, przybierając pięćdziesiąt kilogramów na wadze albo ścinając włosy, ale wyglądała inaczej, atrakcyjniej, jakby stała się w końcu tą wyjątkową pięknością, na którą zawsze się zapowiadała. Straciła dziewczęcą pulchność, uwydatniły się jej kości policzkowe, a blond włosy miała ciemniejsze, niż pamiętał. Im dłużej

się w nią wpatrywał, tym bardziej był przekonany, że to ona.

– Wiesz, że nie jestem zazdrosna, ale komu się tak przyglądasz? – powiedziała Irene, wykręcając szyję, by spojrzeć w kierunku wypełniającego się szybko baru.

– To chyba koleżanka ze studiów. Nie jestem pewien.

– Podejdź i zapytaj. Nie mam nic przeciwko temu.

– Nie, nie ma sprawy. Prawie jej nie znałem – skłamał George, czując zaraz potem mrowienie na karku.

Zamówili kolejne drinki.

– Wygląda na dupka – stwierdził George.

– Słucham?

– Ten twój rozwodnik.

– A, ciągle się nim przejmujesz. – Wysunęła się z boksu, by pójść do toalety, dzięki czemu George zyskał chwilę, by dokładniej przyjrzeć się Lianie. Przez moment zasłaniało mu ją dwóch młodych biznesmenów, którzy ściągali marynarki i luzowali krawaty, ale między ich sylwetkami mógł ją obserwować. Miała na sobie białą koszulę ze stójką, a jej włosy, nieco krótsze niż na studiach, zwisały luźno z jednej strony twarzy, a z drugiej były zaczesane za ucho. Nie nosiła biżuterii, to akurat pamiętał. Dostrzegł jej nieprzyzwoicie kremową szyję i rumień na mostku. Odłożyła książkę i rozglądała się teraz po barze, jakby kogoś szukała. George czekał, aż wstanie i zacznie iść. Czuł, że dopóki nie zobaczy, jak się porusza, nie nabierze pewności, że to ona.

Niczym pod wpływem jego myśli zsunęła się z miękkiego taboretu, odsłaniając przez chwilę udo. Gdy tylko dotknęła stopami podłogi i ruszyła w jego kierunku, nie miał już

wątpliwości. To musiała być Liana. Widział ją po raz pierwszy, odkąd zaczął studia w Mather College, prawie dwadzieścia lat temu. Jej chód był niepowtarzalny. Kołysała powoli biodrami, trzymając wysoko głowę, jakby czegoś wypatrywała. George podniósł menu, by zasłonić twarz i wbił wzrok w nic nieznaczące słowa. Serce dudniło mu w piersi. Mimo klimatyzacji spociły mu się dłonie.

Liana minęła go akurat w chwili, gdy Irene wślizgnęła się z powrotem do boksu.

– Masz swoją przyjaciółkę. Nie chciałeś się przywitać?

– Wciąż nie jestem pewien, czy to ona – odparł George, zastanawiając się, czy Irene słyszy nutę paniki w jego głosie.

– Masz czas na następnego drinka? – spytała Irene. Zdążyła nałożyć w toalecie nową warstwę szminki.

– Jasne – odparł George. – Ale chodźmy gdzie indziej. Przejdziemy się trochę, póki jest jasno.

Irene dała znak kelnerowi, a George sięgnął po portfel.

– Moja kolej, pamiętaj – stwierdziła Irene, wyciągając z bezdennej torebki kartę kredytową. Gdy płaciła rachunek, Liana znów przeszła obok nich. Tym razem George patrzył, jak się oddala, obserwując jej znajomy chód. Przybyło jej trochę ciała. Pomyślał, że na studiach była jego ideałem, ale teraz wyglądała nawet atrakcyjniej. Miała długie, smukłe nogi i bujne kształty, które kobieta zawdzięcza tylko genom, a nie ćwiczeniom, a ramiona białe niczym mleko.

George wyobrażał sobie wiele razy tę chwilę, ale jakoś nigdy nie przewidział ciągu dalszego. Liana nie była po prostu jego dawną dziewczyną, która kiedyś złamała mu serce. Ale również, o ile się orientował, poszukiwaną

przestępczynią, kobietą, której postępki kojarzyły się bardziej z grecką tragedią niż młodzieńczą lekkomyślnością. Zamordowała niewątpliwie jedną osobę, a prawdopodobnie dwie. George czuł na sobie ciężar zarówno moralnej odpowiedzialności, jak i niezdecydowania.

– Idziesz? – Irene wstała i George ruszył za nią, gdy szła energicznie wzdłuż baru po malowanej drewnianej podłodze. Z głośników rozbrzmiewała piosenka Niny Simone *Grzesznik*. Gdy prześlizgnęli się przez frontowe drzwi, powitał ich wciąż wilgotny wieczór i ściana stęchłego, parnego powietrza.

– Dokąd teraz? – spytała Irene.

George znieruchomiał.

– Nie wiem. Może po prostu mam ochotę pójść do domu.

– W porządku – odparła Irene, po czym dodała, gdy George nadal się nie ruszał. – Albo zostaniemy tutaj w tej tropikalnej dżungli.

– Przepraszam, ale niezbyt dobrze się czuję. Chyba wrócę do domu.

– To z powodu tej kobiety przy barze? – Irene wyciągnęła szyję, by zajrzeć przez oszronioną szybę we frontowych drzwiach. – Nie jest tą, jak jej tam, szaloną dziewczyną z Mather?

– Boże, nie – skłamał George. – Myślę, że już się pożegnam.

George poszedł do domu. Zerwał się wiatr i świstał po wąskich uliczkach Beacon Hill. Nie był zimny, ale George rozłożył ramiona i czuł, jak pot paruje z jego skóry.

Gdy dotarł do mieszkania, usiadł na pierwszym stopniu

zewnętrznych schodów. Był zaledwie dwie przecznice od baru. Mógł wypić z nią drinka i dowiedzieć się, co sprowadza ją do Bostonu. Tak długo czekał, by ją zobaczyć, wyobrażając sobie tę chwilę, że teraz, gdy naprawdę się zjawiła, czuł się jak bohater horroru, który chwyta za klamkę drzwi w stodole i zaraz dostanie w głowę toporem. Był przerażony i po raz pierwszy od dziesięciu lat zapragnął papierosa. Czy ona przyszła do tawerny, żeby go odnaleźć? A jeśli tak, to dlaczego?

Każdego niemal innego wieczoru George wszedłby do swego mieszkania, nakarmiłby Norę i wpełznął do łóżka. Ale ciężki klimat tej sierpniowej nocy, w połączeniu z obecnością Liany w jego ulubionym barze, wróżył, że coś się wydarzy, a tego właśnie potrzebował. Wreszcie coś się działo, dobrego lub złego.

Siedział wystarczająco długo, by uwierzyć, że musiała już wyjść z baru. Ile czasu mogła spędzić tam sama z lampką czerwonego wina? Postanowił wrócić. Jeśli wyszła, nie było mu już pisane jej spotkać. Jeśli została, przywita się z nią.

Gdy wracał do Jack Crow's, czuł na plecach cieplejszy i silniejszy powiew wiatru. Pchnął bez wahania drzwi tawerny i natychmiast zobaczył Lianę przy barze. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Jej oczy pojaśniały nieco, gdy go rozpoznała. Nigdy nie okazywała przesadnie emocji.

– To jednak ty – stwierdził.

– Owszem. Cześć, George. – Powiedziała to beznamiętnym tonem, jaki pamiętał sprzed lat, mimochodem, jakby widzieli się już tego dnia.

– Zobaczyłem cię stamtąd. – Skinął głową w głąb tawerny. – Początkowo nie byłem pewien, czy to ty. Trochę się zmieniłaś, ale potem, przechodząc obok ciebie, nabrałem pewności. Zawróciłem w połowie ulicy.

– Cieszę się – powiedziała. Wymawiała wyraźnie słowa, akcentując je na końcu. – Właściwie przyszłam tu... do tego baru... żeby cię znaleźć. Wiem, że mieszkasz w pobliżu.

– O!

– Dobrze, że mnie zauważyłeś. Nie wiem, czy odważyłabym się do ciebie podejść. Rozumiem, co musisz o mnie myśleć.

– To jesteś lepsza ode mnie. Ja nie wiem, co o tobie myślę.

– Chodzi mi o to, co się wydarzyło. – Nie zmieniła pozycji, odkąd wrócił do baru, ale jednym palcem stukała lekko w drewniany kontuar w rytm perkusji.

– No tak, tamto – odparł George, niby szukając w banku pamięci tego, o czym mogła mówić.

– Tak, tamto – powtórzyła jak echo i oboje się roześmiali. Liana przesunęła się nieco, by spojrzeć George'owi w oczy. – Powinnam się martwić?

– Martwić?

– Każesz mnie aresztować? Chluśniesz mi w twarz drinkiem? – Miała drobne zmarszczki w kącikach jasnoniebieskich oczu. To było coś nowego.

– Policja jest już w drodze. Próbuję zyskać na czasie. – George nadal się uśmiechał, ale wyglądało to sztucznie. – Żartuję – dodał, gdy Liana nie od razu odpowiedziała.

– Przecież wiem. Usiądziesz? Masz czas na drinka?

– Właściwie... Zaraz się z kimś spotykam. – Kłamstwo przyszło mu łatwo. Z powodu jej bliskości, zapachu skóry, poczuł nagle zamęt w głowie i niemal zwierzęce pragnienie ucieczki.

– Och, w porządku – odparła szybko Liana. – Ale muszę cię o coś zapytać. Chodzi o przysługę.

– Dobrze.

– Możemy się gdzieś spotkać? Może jutro.

– Mieszkasz tutaj?

– Nie, przyjechałam, żeby... Właściwie odwiedzam kogoś... To skomplikowane. Chciałabym z tobą porozmawiać. Zrozumiem, oczywiście, jeśli odmówisz. Minęło wiele czasu i...

– Okay – przerwał jej George, mówiąc sobie w duchu, że później może zmienić zdanie.

– To znaczy, że chcesz porozmawiać?

– Jasne, spotkajmy się, póki jesteś w mieście. Obiecuję, że nie zadzwonię po federalnych. Chcę usłyszeć, co u ciebie.

– Wielkie dzięki. Doceniam to. – Odetchnęła głęboko przez nozdrza i jej piersi uniosły się lekko. Mimo płynącej z głośnika muzyki George usłyszał jakimś cudem, jak jej szeleszcząca biała koszula ociera się o skórę.

– Skąd wiedziałaś, że tu mieszkam?

– Znalazłam cię przez internet. To nie było takie trudne.

– Przypuszczam, że nie używasz już imienia Liana?

– Niektórzy tak do mnie mówią. Niewiele osób. Dla większości jestem teraz Jane.

– Masz telefon komórkowy? Mam zadzwonić do ciebie później?

– Nie mam komórki. Nigdy nie miałam. Możemy spotkać się znowu tutaj? Jutro. W południe. – George zauważył lekki ruch jej źrenic. Przyglądała mu się, próbując odczytać jego reakcję. A może sprawdzała, czy bardzo się zmienił. Posiwiały mu skronie, miał zmarszczki na czole i wokół ust. Ale był wciąż w relatywnie dobrej formie, nadal mógł uchodzić za przystojniaka.

– Jasne – odparł. – Możemy umówić się tutaj. Mają otwarte w porze lunchu.

– Nie jesteś przekonany.

– Ale nie mówię nie.

– Nie prosiłabym, gdyby to nie było ważne.

– W porządku – powiedział George, myśląc znów, że może zawsze zmienić zdanie, że wyrażając zgodę, przesuwa tylko w czasie decyzję. Później pomyślał, że były w jego życiu chwile, gdy powiedziałby Lianie po prostu, iż jego zdaniem nie powinni się spotykać. Nie szukał sprawiedliwości ani zamknięcia sprawy i dlatego nie uważał, że powinien zawiadomić władze. Liana wpakowała się w kłopoty przed wielu laty. Ale były na tyle poważne, że od tamtej pory musiała uciekać. Już do końca życia. To oczywiste, że nie miała komórki. I że chciała spotkać się z nim w publicznym miejscu, w barze przy skrzyżowaniu w ruchliwej dzielnicy Bostonu, skąd mogła szybko się ulotnić.

– Dobrze. Przyjdę – obiecał George.

Uśmiechnęła się.

– Będę tutaj w południe.

– Ja też.